

Ewa Pobłocka

DZIENNIKI JAPOŃSKIE (3)

CHINY, 25–29 LISTOPADA

Kiedy pierwszy raz (w maju tego roku) odwiedziłam Chiny, już po kilkunastu minutach powiedziałam sobie: nigdy więcej. Mimo że ta podróż była od lat moim marzeniem. Kraj wydawał się tak egzotyczny! Jednak (kolejny już raz) zdałam sobie sprawę, że wrażenia z wizyty w danym miejscu zależne są od ludzi, jakich się tam spotyka. Ani słowa o niemiłej tłumaczce z czasu majowego pobytu, wolę wspominać ten ostatni, nadzwyczaj udany.

Zanim jednak stanęłam na chińskiej ziemi, musiałam zdać egzamin z samodzielności w Tokio. Postanowiłam zupełnie sama, z bagażem, pojechać na lotnisko i dać sobie radę. Zaczęło się od tego, że wychodząc ze swojego tokijskiego mieszkania, miałam wyłączyć piecyk gazowy, sprawdzić, czy nie działa niepotrzebnie ogrzewanie, wyrzucić śmieci, pozamykać okna..., no i oczywiście już spóźniona wybiegłam z domu. Jak na złość nie jeździły taksówki, a kiedy jakaś wreszcie się zatrzymała, jechała dwa razy dłużej niż zwykle na tej trasie... W ostatniej chwili wpadłam do ekspresu na lotnisko – Keisei-line. Tam jak zawsze nadzwyczaj miła obsługa, konduktor kłaniający się nisko przy każdym wejściu i wyjściu z wagonu. Oglądałam swój elektroniczny bilet lotniczy wiele razy, żeby nie pomylić godziny odlotu i terminalu.

Wysiadam pewna siebie, zmierzam do „departure”, po drodze kilka „security point”. Wreszcie staję na trzecim piętrze i... coś mnie tknęło – moich linii (Delta) nie ma na żadnym spisie informacyjnym... Podchodzę do mile uśmiechniętej hostessy i ku swojej rozpaczy dowiaduję się, że samolot do Pekinu odlatuje z innego terminalu. Biegiem więc do autobusu, żeby zdążyć. Było późno. Odprawiwszy swój bagaż, znów pobiegłam do kontroli paszportowej, gdzie bardzo dokładnie studiowano moją chińską i japońską (tym razem wielowjazdową – z magicznym tu statusem „professor”) wizę. Wreszcie w ostatniej chwili dopadłam do bramki – Bejing-Delta lot nr 059. Zdążyłam. Lot był niedługi, niecałe trzy godziny, ale za to nad ostrzeliwującą się Koreą, więc trochę bardziej niż zwykle się bałam.

Na lotnisku w Pekinie z radością stwierdziłam, że moja niedziałająca w Japonii komórka ma zasięg. Natychmiast więc stałam się od niej zależna, choć przez dwa miesiące w Tokio żyłam sobie, zupełnie zresztą nieźle, bez telefonu. Tuż za bramką czekała na mnie sympatyczna młoda Chinka i kierowca, którzy mieli mnie zawieźć do hotelu. Było już dość późno (w Chinach dodaje się jedną godzinę). Panienska okazała się nadzwyczaj miła i rezolutna i tak śmiesznie, sprawnie się poruszała, że natychmiast w myślach nazwałam ją „dziewczynka-sprężynka”. W drodze z lotniska rozmowa nawet jakoś się toczyła. Wspominałam podróże sprzed lat wielu z moimi rodzicami, zwłaszcza po ówczesnym ZSRR, dokąd jeździliśmy na koncerty – mama śpiewała, ja jej akompaniowałam na fortepianie, a tata – towarzyszył. To on właśnie był tym, który podtrzymywał konwersację w samochodzie, podczas gdy mama i ja byłyśmy wiecznie „skupione na sztuce”. Przypomniało mi się, jak to w Alma-Acie czy w Mohylewie tata swoim uroczym rosyjskim nieodmiennie pytał: „a skolko ludziej żywiot w waszym miescie”... Na takie samo pytanie, dojeżdżając do Pekinu, otrzymałam odpowiedź: 20 milionów! To przecież połowa Polski – pomyślałam.

Hotel okazał się bardzo dobry. Na śniadanie od samego rana można było zjeść kaczkę, pierożki chińskie – gotowane na parze, z różnym farszem, świeże owoce. W ogrodzie stał typowy chiński pawilon z zawiniętym dachem. Pod nim każdego ranka zbierała się grupa turystów i pod okiem Chińczyka wykonywano zestaw ćwiczeń „powitanie słońca”, znany mi zresztą doskonale z obrazków z różnych książeczek, czyli z teorii. W praktyce może ze dwa razy wykonałam je w całości..., no ale przynajmniej mam jakieś pojęcie. Do tej grupy nie mogłam się przyłączyć. Po krótkiej rozmowie z ambasadą RP zaplanowałam dzień. Najpierw więc ruszam w miasto. Nie można przecież w Pekinie całego dnia spędzić przy fortepianie! Żeby mieć jednak czyste sumienie, dwie godziny poświęciłam partyturom Chopina, którego utwory miałam grać następnego wieczoru w Forbidden City Concert Hall. A potem w recepcji hotelowej punktualnie pojawił się Pan Mariusz – praktykant w naszej ambasadzie, jak się okazało, płynnie mówiący po chińsku (po studiach sinologii w Poznaniu). Pan Mariusz, dwudziestoparolatek, nie tylko mówił po chińsku, ale również pisał! Pasjonat tej kultury, o szerokich zainteresowaniach, który w dodatku chętnie dzielił się swoją wiedzą. Zaplanowaliśmy więc wspólnie

następnych kilka godzin. Najpierw wizyta w świątyni lamajskiej. Podobnie jak japońskie – buddyjska, ale w wystroju nieco inna, bardziej kolorowa. I jak wszystkie tego typu budowle, składała się z kilku „budynków”. W każdym z nich inny Buddha. W ostatnim nawet niby-kobieta, a właściwie – „ono”, Guanin. Na ścianach – piękne kolorowe malowidła, na ołtarzach – owoce i kwiaty. Wierni zapalają kadzidła, biją pokłony. Dało się nawet słyszeć mantrę śpiewaną, mówioną(?) przez mnicha. Stamtąd pieszo do Świątyni Konfucjusza położonej wśród pięknych cyprysów i „scholartree”. Na Akademię Konfucjańską już nie było czasu, ale w świątyni właśnie dowiedziałam się o pragmatyzmie Chińczyków, którzy będąc pracownikami administracji państwowej, są jednocześnie wyznawcami myśli konfucjańskiej. Wybierając się na emeryturę, wracają do swojej wsi, stając się z kolei taoistami, a przed śmiercią buddystami, bo Buddha obiecuje przemianę, odrodzenie, reinkarnację.

W Pekinie odczuwa się zamiłowanie do symetrii (o, jakże się ucieszyłam!). Widać to w architekturze miasta – na południu Świątynia Nieba, na północy Świątynia Ziemi, na zachodzie Świątynia Księżyca, na wschodzie Świątynia Słońca (jedną z nich udało mi się obejrzeć dzień po koncercie). Niestety zaledwie tylko dotknęłam skrawka Pekinu, trzeba było bowiem pomyśleć jednak o fortepianie, więc po szybkim, ale doskonałym lunchu w wegetariańskiej restauracji nieopodal Konfucjusza (kuchnia sycuańska, dość ostra) taksówką udaliśmy się do naszej, niezwykle gościnnej ambasady. Po drodze mijaliśmy – ku mojemu zdumieniu – dzielnicę rosyjską. Napisy na sklepach w tym właśnie języku sprawiły, że się uśmiechnęłam: „targowyj center”, „riemien magazyn” (sklep ze skórzanymi paskami)...

W rezydencji Pana Ambasadora Tadeusza Chomiciego miałam do dyspozycji fortepian Calisia, przy którym spędziłam kilka godzin w pięknie urządzonej wnętrze, w przerwie mając szansę krótkiej rozmowy z gospodarzami. W tym roku, Chopinowskim, miałam okazję bywać w kilku naszych ambasadach i zachowałam z tych wizyt jak najlepsze wspomnienia, choćby z Waszyngtonu, Dublina i Pekinu właśnie. W ambasadzie w Tokio nie byłam, ale to ta właśnie placówka wspólnie z Narodowym Instytutem im. Fryderyka Chopina zorganizowała z okazji 200. urodzin kompozytora wspaniałe spotkanie „rodziny chopinowskiej”, o czym wspomnę w następnych doniesieniach, już po powrocie z Pekinu do Tokio.

Pierwszy dzień w Pekinie zakończył się w... sklepie! Słynna „Silk street”. Specjalnie nie pytałam, co można tam kupić, żeby nie zwariować. Zdecydowanym krokiem udałam się (z anielsko wprost cierpliwym Panem Mariuszem) na Pietro, gdzie otwarło się przede mną „królestwo pereł”, rozmaitych kolorów, kształtów, o różnej wartości, ale wszystkie one były piękne i kuszące, tak bardzo kuszące, że wyznają – zgrzeszyłam... Zwłaszcza że za taką cenę było warto. Przy wyjściu ze sklepu małe stoisko z herbatą, czarną, zieloną, czerwoną, z pierwszego zbioru, kilkumiesięczną i bywa, że nawet piętnastoletnią. Szerokoliściasta i inne gatunki, których nie znam... Owszem, i tam zgrzeszyłam. Wykazałam jednak chyba duży rozsądek, spędzając w tym przybytku tylko półtorej godziny. W końcu następnego dnia miałam grać koncert w Pekinie!

W sobotę 27 listopada miałam pojawić się w ambasadzie przed południem. Z duszą na ramieniu wsiadłam przed hotelem do taksówki, pokazałam karteczkę z adresem i ruszyliśmy. A co zrobię, jeśli kierowca nie trafi? Jeśli zmusi mnie do tego, żebym wysiadła w środku miasta, o którym nie mam pojęcia? I rzeczywiście trochę błądził, podjeżdżając pod różne ambasady, w końcu jednak dotarliśmy. Ćwiczyłam nie za długo, pamiętając o tym, że generalną próbę na instrumencie koncertowym mam przed samym występem, już na estradzie. W dzień koncertu jak zwykle – dobry obiad, drzemka (tym razem krótka), spakowanie sukni i samochodem należącym do sali koncertowej udaliśmy się w stronę Zakazanego Miasta. Słońce chyliło się ku zachodowi i kiedy podjechaliśmy pod jedną z bram, ukazał się pięknie oświetlony ogród. Ponieważ jeszcze trwał poprzedni koncert, poprosiłam „dziewczynkę-sprężynkę” o krótki spacer. Chciałam stanąć na słynnym placu Tian’anmen. Właśnie o tej porze odbywała się ceremonia zdejmowania flagi państwowej z masztu, której towarzyszyły tłumy ludzi, wojsko i podniosły nastrój. Naprzeciw głównej bramy pałacu – Mauzoleum Mao, wobec ogromnego placu poczułam się zagubiona i taka „mała” (specjalnie nie piszę „I”). Chciałam jak najszybciej stamtąd odejść, prawie biegłam do fortepianu... i wtedy zadzwonił telefon z Polski. Kilka tysięcy kilometrów stąd...

Sala okazała się mieć niezłą akustykę. Fortepian Steinway dobrze przygotowany, miejsc około 1400. Grałam bardzo duży program chopinowski, taki zamówiono. Oprócz kompletu ballad, kilku nokturnów, grupy walców i dwóch scherz były jeszcze na początek i na zakończenie recitalu dwa polonezy. Nie wiem nawet, czy 30 lat temu na konkursie grałam z takim poczuciem „dumy narodowej”. Mazurki tym razem na bis. Byłam mile zaskoczona odbiorem muzyki. Wciąż pamiętałam, jak w Szanghaju rozmawiano, odbierano telefony komórkowe, szeleszczono papierkami. Tu w Pekinie tylko na początku drugiej części, po przerwie, pomyślałam, że jednak nie może być koncertu bez prażonej kukurydzy, zupełnie jakby to było w kinie!

Potem miłe spotkanie z publicznością w garderobie i już czekał pan Radca Ambasady, żeby podjechać ze mną pod budynek nowo powstałej przed dwoma laty Opery Narodowej. Mówią o niej: „perła” lub... „jajo”, wylania się z wody. Pięknie wyglądała w nocnym oświetleniu. Właśnie skończył się spektakl na którejś ze scen (jest ich pięć w sumie dla 5000 osób!, do tego koncerty kameralne odbywają się także w bibliotece), publiczność opuszczała teatr, ale udało nam się jeszcze wejść na parę minut. Projektant francuski, wykonanie chińskie, szkło, drewno, chrom. Pięknie. Mimo dużej ilości szkła i metalu nie odnosi się wrażenia chłodu. Mnóstwo zieleni, doskonale oświetlenie. Tam właśnie w krótkim czasie ma zabrzmieć *Król Roger* Karola Szymanowskiego. Na chwilę tylko wpadliśmy do hotelu zostawić kwiaty i suknie i już niestrudzony Pan Mariusz zabierał mnie na oglądanie Pekinu „by night”. Pojechaliśmy do słynnej dzielnicy Shichahaj – pełnej klubów, pubów, sklepików z rękodziełem, knajpek. Sporo tam hałasu, ale jest klimacik. Małe, wąskie uliczki, niewielki ruch samochodowy (raczej riksze), w centrum dzielnicy dwie wieże – Dzwonów i Bębnow, z których wymiennie kiedyś rozlegał się hejnał. To zupełnie inny świat. Świecił księżyc, ludzie się bawili, ja w dobrym nastroju po koncercie, ale trzeba było wracać do hotelu, zrobiło się późno, chłodno, no i od rana czekało mnie dalsze zwiedzanie.

NIEDZIELA, 28 LISTOPADA

Punktualnie o godzinie dziesiątej ruszyliśmy z hotelu. Ponieważ była piękna pogoda, nie trzeba było się spieszyć z wyjazdem za miasto. Mój przewodnik obmyślił więc plan zwiedzania. Najpierw pojechaliśmy do parku Góry Widokowej (Panoramy), z którego jest najlepszy widok na Zakazane Miasto. Zanim jednak doszliśmy po nieco stromym zboczu do owej platformy widokowej, zanotowałam kilka podobno typowych dla Chin obrazków. Niedziela – dzień wolny od pracy, więc w parku najpierw grupa kobiet tańczących z szarfami (wygląda to jak gimnastyka artystyczna bez muzyki, za to dla przechodzącej właśnie publiczności). Tańczą z potrzeby ducha i ciała. Parę kroków dalej kilka chórków amatorskich śpiewających rodzime pieśni z akompaniamentem fletu, akordeonu, bębna z wężowej skóry. Towarzystwem tym dowodził wcale niezły dyrygent, śpiewający razem z nimi. Śpiewali z radością, z potrzeby serca. Podobno w tym też widać jakieś dążenie do wspólnoty... Poszliśmy parę kroków w górę, a tam na wystającej skale „solista” o pięknym głosie, zupełnie na nas nie zwracając uwagi, śpiewał w zapamiętaniu jakimś i z operowym „gestem”. Stałam dłuższą chwilę, bo on jakby duszę swoją chciał wyśpiewać. Fascynujące... Była też miniorkiestra muzyków grających na tykwach (rodzaj fletu) i scena, która poruszyła mnie najbardziej: na skrawku trawy mały, niski stolik, na nim rozłożone zwoje papieru, kilka piór, a właściwie pędzli, tusz i starszy pan piszący chińskie znaki... z miłości dla kaligrafii. Ponoć są tu ludzie, którzy każdy dzień rozpoczynają od tego zajęcia, nawet jeśli jest to piąta rano. Podobno czynność ta uspokaja i wpływa na koncentrację. Rodzaj medytacji? Co piszą? Podobno fragmenty poezji... antycznej, z głowy! W chińskim sposobie myślenia sztuki piękne są ze sobą powiązane, kaligrafia (jako sztuka właśnie) miesza się z poezją, z malarstwem, z muzyką w mniejszym stopniu, bo ta uważana jest za sztukę ludową.

Parę kroków dalej scena-monodram, jakiś aktor-amator opowiadał historie, chyba zabawne, bo ludzie przystawali i słuchając, śmiali się głośno. Ot, taki kłown (przebrany) w niedzielne przedpołudnie w parku, dla swojej i cudzej przyjemności. W parku wszechobecna jest „Zośka” – taka gra (pamiętam chyba ze średniej szkoły), polegająca na podrzucaniu, a to piłki papierowej, a to minipoduszczki (z grochem w środku). Podrzucają wszyscy! Można spotkać czasem bardziej wysublimowaną „Zośkę” – np. wieczorem świecą w ciemności. Jak ci ludzie potrafią się cieszyć i bawić! Obejrzawszy to wszystko po drodze, wreszcie dotarliśmy na górę, skąd rozpościerał się widok na dawny pałac cesarski, w którym rzekomo jest 999 pokoi (dziewiątka to ponoć szczęśliwa cyfra) z widokiem na ogrody i na Pekin, a właściwie na pekiński smog – bo podobno miasto jest bardzo zanieczyszczone i niebezpiecznie w nim żyć.

Okazało się, że najpiękniejsze widoki jeszcze przede mną. Taksówka zawiozła nas do Świątyni Nieba. Sama nazwa już jest piękna i intrygująca, a na miejscu... pierwsze skojarzenie budowli z Kornelem Makuszyńskim i Koziołkiem Matołkiem, który w Chinach ląduje przed pałacem w kształcie czajnika! Właśnie taki niebiesko-biały czajnik ukazał się moim oczom. A za nim ściana echa (jak w oliwskim parku muszle), przejścia przez wiele bogato malowanych bram. Główny budynek w kształcie okrągłej pagody, niebiesko-złoto-zielono-czerwony. Nazywa się „pawilonem harmonii i czasu”. Była piękna, słoneczna pogoda, włoskie błękitne niebo dodawało jeszcze więcej koloru. Chłoniłam te wszystkie piękności, szczypiąc się co chwilę i mówiąc do siebie: jestem w Pekinie.

Jako że zbliżała się pora lunchu, weszliśmy do małej kawiarenki na chińskie pierożki i kawę. Szkoda byłoby czasu w taki dzień rozsiadać się przy obiedzie. A przy wyjściu ze świątyni jeszcze zupełne zaskoczenie – słychać było muzykę, ale nie chińską, jak się okazało za budynkiem, pod drzewami jeden mężczyzna grał na gitarze, a drugi śpiewał „po chińsku” *Admaskowskije wiecziera*. Przysięgam, nie zmyślam! Nie mogąc w to uwierzyć, powoli opuszczałam teren Świątyni Nieba. Za chwilę mieliśmy wyjechać z miasta, udając się w stronę gór...

Po około półtorej godziny jazdy, w czasie której udało mi się na chwilę zasnąć, podjechaliśmy na parking, skąd widać było wyciąg krzeselkowy na... chiński Wielki Mur. I znów zbliżał się zachód słońca, wszystko przedstawiało się więc w pięknym świetle. Podróż krzeselkiem trwała może 10 minut. Oczom ukazywały się coraz piękniejsze widoki gór, fantastycznych, groźnych, zupełnie innych niż nasze. Podczas tej drogi przypomniałam sobie, jak to jadąc takim wyciągiem na Śnieżkę jako dziewięcioletnia dziewczynka, sprecyzowałam swoją filozofię życiową: „Chciałabym siedzieć na krzeselku, ale żeby jednocześnie to krzeselko było puste”, ale to jest zupełnie co innego niż „zjeść ciastko i mieć ciastko”. Na Murze było już niewiele turystów, a tubylcy (coś jak nasza gaździna z jagodami i śmietaną) opuszczali swoje miejsca handlu napojami, udając się na piechotę do okolicznych wiosek. Okazało się, że tam, na górze, prawie cały czas chodzi się po chwilami dość stromych schodach, a ja nie miałam niestety kondycji na dłuższą wędrówkę. Doszliśmy do kilku wartowni, z zachwytem rozglądając się po okolicy. Przed nami i za nami, w górę i w dół patrząc, widzieliśmy wijący się mur. Ileż lat go budowano, ile tysięcy osób? W końcu, zdaje się, na próżno, bo za późno. Ale pomnik pozostał i znów musiałam się uszczypnąć: chodziłam po Wielkim Murze!

Taki dzień mógł się zakończyć już tylko kaczką po pekińsku z czerwonym winem i wspaniałymi warzywami: bakłazanami i korzeniem lotosu przyprawionym ostrą papryczką i oliwą. Wspaniałe! Wróciłam do hotelu, żeby zapakować walizkę, jednak co chwilę to pakowanie przerywałam, notując pospiesznie swoje wrażenia z Chin. Jak zwykle przed podróżą spałam niespokojnie, a o 4.30 już na lotnisko. Po przylocie do Tokio wzięłam taksówkę i pojechałam prosto na uniwersytet, gdzie czekali już studenci. Uczylam do wieczora. To był bardzo długi dzień.